

Don Jacobson

Boże

orzeźwienie

Przełożyła
Małgorzata Bortnowska

Wydawnictwo WAM

Tytuł oryginału
WHEN GOD MAKES LEMONADE

Originally published in the U.S.A. under the title:
WHEN GOD MAKES LEMONADE:
TRUE STORIES THAT AMAZE AND ENCOURAGE

Copyright © 2013 Donald C. Jacobson
Published by permission of Thomas Nelson, Nashville, Tennessee.
www.thomasnelson.com

All rights reserved.
Further reproduction or distribution is prohibited.

© Wydawnictwo WAM, 2014

Redakcja: Aleksandra Marczuk
Korekta: Sylwia Łopatecka
Projekt okładki: Marta Wenda
Łamanie: Barbara Bodzoń

ISBN 978-83-277-0091-9

Wszystkie cytaty biblijne podane są za Biblią Tysiąclecia,
chyba że zaznaczono inaczej.

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIEGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl

Drukarnia Wydawnictwa WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

WSTĘP

Historie zawarte w niniejszej książce opowiadają zwykli ludzie, których w gorzkich momentach życia zaskoczyła nieoczekiwana słodycz. Dlaczego wybraliśmy prawdziwe historie? Ponieważ obdarowują nas nadzieją, a w tych trudnych czasach większość z nas nie potrzebuje ponagień, żeby dać z siebie więcej – i tak już dajemy z siebie wszystko! Potrzebujemy za to przypomnienia, że Bóg jest z nami i z każdej rzeczy potrafi wydobyć dobro.

Jeśli więc zmagasz się z brzemieniem bezrobocia, depresji, zerwanych relacji i nieoczekiwanej śmierci lub innymi problemami życiowymi, nie poddawaj się!

Chociaż okoliczności, imiona i wydarzenia opisane w opowiadaniach są za każdym razem inne i niepowtarzalne, to wszystkie uczą tego samego – nie jesteś sam!

Tak, w życiu dzieje się tak wiele, ale przychodzi taka chwila, która orzeźwia nas jak chłodny napój w gorący sierpniowy dzień. Obyś odnalazł to orzeźwienie w tych opowiadaniach, które masz przed sobą, i oby Bóg pobłogosławił cię odwagą, której potrzebujesz, by iść dalej.

JEZIORO ROSLYN

DON JACOBSON

Jest chłodny dzień późnego listopada, chmury wiszą nisko nad Górami Kaskadowymi. Poluję w lasach wokół Jeziora Roslyn, tak gęstych i dzikich jak puszcze w Kanadzie, gdzie dorastałem.

Wędruję skrajem wody i wspominam niezliczone godziny, jakie spędzałem na wędkowaniu, polowaniu i obozowaniu, będąc dzieckiem. Niektórzy z moich przyjaciół chcieli polecieć w kosmos, inni marzyli o zdobyciu przyłożenia w mistrzostwach futbolu, ale ja chciałem tylko przebywać na łonie natury, wdychać świeże powietrze, nie przejmować się brudem pod paznokciami. Życie pod gołym niebem tak mnie urzekło, że po ukończeniu szkoły średniej przyłączyłem się do grupy drwali. Potem pracowałem na budowie. Rodzaj pracy w gruncie rzeczy się nie liczył – dopóki czułem na skórze promienie słońca, byłem szczęśliwym człowiekiem.

Okrażam jezioro, starając się zachować ciszę. Nie chcę spłoszyć kaczek, lecz Big Boy, mój hałaśliwy, czarny labrador, skomle za mną i rzuca się do wody.

– Spokój, Big Boy! – szepczę ostro. Pies z pluskiem wychodzi z wody i otrząsa się, by osuszyć sierść. Po chwili słyszę parę krzyzówek za gąszczem zielska na brzegu. Zasty-

gam w bezruchu. Big Boy przystaje za mną i skomli, kaczki milkną.

– Spokój – mówię. Kolba mojej strzelby uderza psa w bok.

Nagle ciszę rozdziera ogłuszająca eksplozja, a moje ciało wykonuje gwałtowny obrót. Przewracam się do wody, upadam twarzą na płyciznę.

Rozpaczliwie łapię powietrze i próbuję usiąść, ale ostry ból rzuca mnie z powrotem do wody. Przewracam się na plecy i wypluwam wodę z ust.

Oddychaj, oddychaj, oddychaj, mówię do siebie, w uszach mi dzwoni, a myśli się płaczą.

Co to było? Usłyszałem huk. Coś we mnie uderzyło. Jestem ranny.

Spoglądam w górę, na ciemne, szare chmury.

Boże, postrzeliłem się – myślę z przerażeniem.



– Don! – słyszę, jak kumpel wykrzykuje moje imię.

Pochylam się, opieram wiaderko z masą szpachlową o ścianę i obracam się.

– Telefon! – mówi, unosząc go nad głowę. – Twoja żona.

Idę ku niemu po zakurzonej podłodze i jednocześnie ściągam rękawiczkę, jeden palec za drugim.

– Cześć, kochanie. Jak się miewasz? – pytam, przyciskając słuchawkę do ucha.

– Świetnie. Jak tam dziś w pracy?

– Nieźle. Szybko nam idzie. Powinniśmy skończyć zgodnie z planem.

– Wspaniale – mówi żona. – Chciałam ci tylko przypomnieć, że Eric i Jeri będą o wpół do siódmej.

– Taak. Nie mogę się doczekać. Mam jeszcze skoczyć po coś do sklepu?

– Nie trzeba. Mamy wszystko. Będiesz niebawem?

– Taak. Kocham cię.

– Ja też. Och, poczekaj – słyszę, jak mówi jeszcze, gdy odkładam już słuchawkę. Podnoszę ją z powrotem do ucha.

– Tak?

– O mało nie zapomniałam. Dzwonił rusznikarz. Mówił, że śrutówka jest gotowa i że możesz po nią wpaść w każdej chwili.

– Naprawdę? To świetnie. Zabiorę ją w drodze do domu.

– Nie spóźnij się!

Uśmiecham się, wyobrażając ją sobie, jak wykrzykuje słowa do telefonu.

– Nie martw się, będę na czas!

Parę godzin później wychodzę z roboty, wcześniej niż zwykle, i podjeżdżam do rusznikarza. Opieram kolbę mocno na ramieniu, patrzę wzdłuż lufy i wodzę nią po sklepie za parą wymaglinowanych kaczek.

– Wygląda na dobrą.

Rusznikarz opiera się o ladę, kiwa potakująco głową. Płacę, wskakuję do samochodu i ruszam do domu.

Wjeżdżając na podjazd, zerkam na zegarek.

Mam parę godzin, zanim pojawią się Eric i Jeri. Brendy nie ma w domu, załatwia sprawunki. *Może znajdę chwilę, żeby wypróbować broń?*

Znów spoglądam na zegarek, myślę chwilę i kieruję się do garażu. Napęlam kieszenie nabojami, łapię kurtkę i gwizdę na Big Boya, żeby wskakiwał do samochodu.

Może powinienem napisać Brendzie parę słów? – zadaję sobie pytanie, wycofując z podjazdu. *Och, nie trzeba. Będę w domu na czas.*



Przesuwam drżącą ręką w górę prawej nogi i zatrzymuję dłoń, gdy dotykam wielkiego, zdrętwiałego supła na biodrze. Ból przenika głębiej w bok, przez brzuch i dalej do kręgosłupa.

O Panie, modlę się, badając ranę palcami. Potrzebuję Twojej pomocy.

Patrzę na brzeg i widzę, że kolba mojej strzelby leży zanurzona w wodzie. Sięgam po nią, przyciągam do siebie, blisko piersi i dostrzegam, że kolba zwisa z podwójnej lufy.

Wygląda na uszkodzoną. Jest złamana – myślę, pewien, że nigdy nie widziałem, by strzelba się rozpadła w taki sposób.

Badam uszkodzenie i odkrywam, że jeśli mam zamiar wystrzelić sygnał SOS, będę musiał oderwać kolbę od luf. Chwytam lufy prawą ręką, kolbę lewą i rozłamuję strzelbę jak gałązkę. Kolba odchodzi bez trudu. Rzucam ją do wody. Przebiegam palcami po kieszeniach, wyławiam naboje z mokrych dzinsów i układam je na brzuchu.

Trzymając podwójne lufy w lewej ręce, celuję w niebo, opierając je o pień wystający z wody. Sięgam prawą ręką, ładuję obie lufy, po czym opieram palec wskazujący na spuście.

Trzy strzały na sygnał SOS, przypominam sobie. Liczę:

Jeden, dwa, pal.

Bum!

Jeden, dwa, pal.

Bum!

Szybko sięgam prawą ręką do piersi i chwytam następny nabój, ale już wiem, że wykonuję to za wolno, żeby oddać trzeci strzał w odpowiednim czasie. Mimo to wkładam nabój do lufy i wypalam.

Nasłuchuję przez chwilę z nadzieją, że usłyszę kroki albo czyjś strzał, ale nic takiego się nie dzieje. Nabijam ponownie strzelbę i wykonuję to samo bolesne zadanie.

Proszę, modłę się za każdym razem, gdy ładuję, proszę, niech ktoś będzie w pobliżu.

Oddaję szesnaście strzałów i kończą mi się naboje. Las wciąż jest cichy, pusty. Upuszczam strzelbę z powrotem do wody.

– Pomocy! – krzyczę tak głośno, jak tylko zdołam. – Czy ktoś mnie słyszy?

Wołam na cały głos, aż brakuje mi tchu. Kręci mi się w głowie.

– Pomocy! Jestem ranny. Pomocy!

Mój głos niesie się echem po wodzie i cichnie wśród drzew. Próbuję sobie przypomnieć, czy po drodze mijalem przy szosie jakieś zaparkowane samochody albo czy w pobliżu stały jakieś domy, ale nic nie pamiętam. Jestem sam i wiem o tym – nikt mnie nie słyszy, nikt nie wie, gdzie jestem. Mgła otula wierzchołki drzew. Gdy opadnie, być może zakryje mnie na zawsze.

Myśli mi się płaczą, tracę nadzieję. Powoli i niepewnie skłaniam się ku jedynej możliwości.

Skoro nikt nie przychodzi, muszę sam się stąd wydostać. Do trzech do samochodu.

Ostrożnie przewracam się na brzuch i podpieram na rękach. Podnosząc kolana, jedno po drugim, prostuję się i łapię równowagę.

Okej, dobrze, dodaję sobie odwagi, trzęsąc się z bólu. Idź.

Przyciskając ranę obiema rękami, przesuwam lewą nogę w wodzie. Dociągam prawą, ale paraliżuje ją palący ból, potykam się i padam z powrotem do jeziora.

Ociągam się z kolejną próbą, ale zmusza mnie wewnętrzny nakaz: *dobrnij do samochodu*. Przekręcam ciało i opieram się o muliste dno jeziora. Ból przeszywa mi bok, ale oddycham głęboko i cal za całem przesuвам ręce do przodu, a za nimi kolana. Kolejny głęboki oddech i pełzną cal dalej.

Dziesięć minut później jestem na brzegu, czołgam się po ścieżce na czworakach w kierunku samochodu, kiedy nagle gwałtowna fala bólu eksploduje mi w piersi. Ból przenika serce, płonie w płucach, aż żołądkiem targają nudności. Padam wyczerpany na ścieżkę.

Boże, błagam, jeśli chcesz doprowadzić mnie do domu, zrób to szybko, bo bardzo cierpię.

Nagle ból przygasa, ulga ogarnia moje ciało. Wciągam głęboko powietrze, mięśnie się rozluźniają.

Dzięki Ci, Boże, dzięki! Oddycham dalej, dziękując Bogu. Z każdym haustem powietrza czuję Go bliżej siebie, słyszę, jak mówi: *Jeśli wytrwasz do rana, będziesz żył.*

Światło na niebie przygasa, chmury płyną nisko, las kryje się we mgle. Podejmuję kolejną próbę, chcąc doczołgać się do samochodu, ale po piętnastu metrach po prostu przestaję się ruszać. Jestem całkowicie wykończony, straciłem dużo krwi. Zwyczajnie nie mogę przesuwać się dalej.

Gdy ostatni poblask dnia przeziiera przez chmury, Big Boy doskakuje do mnie z patykiem w pysku i trąca mnie w bok. Skomli, chce się bawić w aportowanie. Nie reaguję, a on wciąż szturcha mnie patykiem w ranę.

Boże, on mnie zabije.

– Big Boy – udaje mi się wydusić. – Nie, piesku. Leżeć.

O dziwo jest posłuszny, sadowi się przy moim zziębniętym boku. Od razu czuję ciepło jego ciała i znów staję się świadomy Bożej obecności.

Jeśli wytrwasz do rana, będziesz żył.

Zmierzch powoli przechodzi w mrok. Lasy stoją w jeszcze większej ciszy, otulone kocem gęstej, oregońskiej mgły.
Nie zamykam oczu. Zaczynam czekać na świt.



Punktualnie o wpół do siódmej wieczorem Eric i Jeri skręcają samochodem na podjazd. Brenda wita ich sama, przeprasza w moim imieniu, że się spóźniłem.

Eric, mój stary przyjaciel, pyta zainteresowany Brendę, gdzie się podziewam.

– Nie jestem pewna, ale jeśli szybko nie przyjedzie, nie dowie się, kto zastrzelił J.R.! – odpowiada Brenda, na poły żartem, na poły zatroskana.

Jedzą posiłek, myją naczynia i włączają telewizję, ale mnie wciąż nie ma.

– Zadzwońię do taty – oznajmia Brenda, gdy *Dallas* ma się już rozpocząć. – Może ma jakieś wieści od Dona.

– Nie, niestety. Nie rozmawiałem z nim – mówi ojciec Brendy, John – ale nie martwiłbym się za bardzo. Ma stare opony, może złapał gumę.

– No nie wiem, tato. Niepokoję się. Zamierzam zadzwonić na policję – odpowiada Brenda.

– Nie, to nic nie pomoże. Teraz nic nie zrobią. Poczekaj, aż film się skończy. Jeśli wciąż go nie będzie, zadzwoń do mnie.

– Dobrze – ustępuje Brenda. – Dzięki, tato.

Dallas się kończy, Brenda znów idzie do telefonu.

– Tato, nie wrócił jeszcze. Mam złe przeczucie.

– Nie wiem, co ci powiedzieć. Policja nic nie pomoże, bo nie ma go dopiero od paru godzin. Zadzwońię, jak czegoś się dowiem.

Rozłączają się. Brenda wraca i siada obok Erica i Jeri.

– Nie wiem, co robić – wyznaje. – Gdzie on jest?

Mija pełna niepokoju godzina, i wreszcie, już po jedena-
stej, dzwoni telefon. Brenda biegnie do słuchawki.

– Halo? Don?

– Nie, kochanie, to ja – słyszy głos ojca. – Wrócił twój
brat. Mówi, że Don dzwonił do niego po południu w spra-
wie polowania.

– Polowania? – pyta Brenda.

– Tak. Mówi, że Don dzwonił, bo chciał wypróbować no-
wą kolbę w strzelbie. Będziemy go szukać. Zostań w domu
i czekaj na telefon.

– Tato, nie usiedzę w domu, muszę jechać razem z wami.

Ojciec wzdycha, a Brenda wręcz słyszy jego zamyślenie
po drugiej stronie linii.

Gdzie ja ją wysłę? – zastanawia się John. Wie, że to waż-
ne, by na poszukiwania udało się jak najwięcej ludzi, ale nie
pośle córki w lasy, ryzykując, że natknie się na nieżyjącego
męża. Uraz byłby za silny.

– Dobra – mówi w końcu, decydując, że wyśle córkę
w najmniej prawdopodobne na polowanie miejsce, jakie tyl-
ko może sobie wyobrazić. – Jedźcie z Erikiem i Jeri nad Je-
zioro Roslyn. Może tam jest.



– Nie wiem, dlaczego szukamy właśnie tutaj. Wygląda na to,
że tracimy czas – lamentuje Brenda.

Jeżdżą wokół już od ponad godziny, myślą drogę, gubią
się we mgle, coraz bardziej poirytowani. Jest już dobrze po
północy, a dopiero dotarli nad jezioro.

Eric powoli bierze zakręt na asfaltowej drodze i dostrzega, że coś błyszczy w ciemności. Naciska hamulce i krzyczy, wpatrując się bacznie w lusterko wsteczne:

– Co to jest?

Brenda obraca się i natychmiast rozpoznaje.

– To samochód Dona! Mgła jest tak gęsta, że przejechaliśmy obok niego!

– Stoi już od dawna – stwierdza Eric, dotykając zimnej maski. Idą razem na groblę usypaną na skraju jeziora.

– Don! – woła Eric. – Słyszysz mnie?

Otwieram oczy. Ciepłe ciało psa wciąż spoczywa przy mnie, ogrzewa. Big Boy nastawia uszu. Skomli, patrząc w mrok.

Coś słyszę.

– Don!

Głos rozbrzmiewa słabo, ale słyszę go. *Czy to prawda? Może śnię?* Zamykam oczy i wychylam się do przodu. Wyętam słuch, staram się uchwycić każdy odgłos w lesie.

– Don!

Otwieram gwałtownie oczy i obracam głowę w kierunku nawoływania.

Znaleźli mnie.

– Jestem tutaj! – próbuję krzyczeć, ale gardło mam zbyt wysuszone, by mówić. Przełykam ślinę, ale język przywiera mi do podniebienia.

Woda! Znaleźć wodę!

Patrzę na jezioro. *Czy uda mi się na czas doczołgać i napić się?* Patrzę dalej, zrozpaczony, i dostrzegam lśnienie rosy na rękawie kurtki. Szybko zlizuję wilgoć z tkaniny i krzyczę:

– Jestem tutaj! – łapię oddech i przełykam ślinę. – Jestem tutaj!

Eric unosi rękę.

– Poczekajcie! Słyszaliście to?
Brenda i Jeri kręcą głowami.
– Słuchajcie – szepcze Eric. Mija chwila ciszy. – Znów! –
mówi gwałtowniej. – Słyszaliście?
– Nie – odpowiada Brenda. – Co takiego?
– Poczekajcie na mnie w samochodzie. Muszę to spraw-
dzić. – Eric biegnie wzdłuż grobli i skręca w las.
Słyszę, że ktoś nadchodzi. Big Boy zaczyna szczekać.
Znowu wołam cicho:
– Jestem tutaj!
W tym momencie z mgły wyłania się Eric i klęka obok
mnie.
– Och, Bogu dzięki! Don, co sobie zrobiłeś?
– Eric? To ty? – pytam chrapliwym głosem.
– Tak, Don, to ja. Co tu robisz? – Klęka przy mnie. – Co
się stało?
– Postrzeliłem się. To był wypadek. Jak mnie znalazłeś?
– Wszyscy cię szukają.
– Brenda – wyjąkałem. – Jest tutaj?
– Siedzi w samochodzie... Zostań tu, sprowadzę pomoc. –
Wstaje, by pobiec do samochodu, ale zatrzymuję go.
– Nie, Eric, mogę iść. Pomóż mi wstać.
Pomaga mi dźwignąć się na nogi. Próbuję zrobić krok,
opierając się ciężko o jego ramię, ale wszystko zaczyna wi-
rować mi przed oczami. Przewracam się, a Eric, nie wahając
się ani chwili, odbiega w mrok.
– Nie ruszaj się! Sprowadzę pomoc! – krzyczy, znikając
w ciemności.
Brenda i Jeri są zaskoczone, gdy Eric otwiera drzwi auta.
– Co się stało? – woła Brenda.
– Odnalazłem Dona. Żyje, ale postrzelił się. Musimy jak
najszybciej zatelefonować.

Eric i Brenda z pośpiechem dopadają pierwszego domu, jaki udaje im się znaleźć. Łomoczą w drzwi. Zapala się światło, a jakiś młody człowiek, szurając nogami, podchodzi do wejścia.

– Przepraszam, że pana niepokoję – wita go Eric – ale musimy zadzwonić na pogotowie.

Nie mija godzina, a otacza mnie kilku członków oddziału ochotniczej straży pożarnej z Sandy w Oregonie. Paramedycy badają mój stan. Okazuje się, że tętno i temperatura ciała są niebezpiecznie niskie. Jestem bliski wychłodzenia organizmu, mam popękane żyły i nie można podłączyć kroplówki.

Wzywają drugi ambulans, wyposażony w nadmuchiwane spodnie. Kiedy przyjeżdża, przywiązują mi spodnie do nóg, napełniają je powietrzem i tłoczą krew w narządy wewnętrzne. W końcu są w stanie podłączyć mi kroplówkę i przewieźć mnie, jednak nie przenoszą mnie do ambulansu. Składają meldunek przez telefon i proszą o karetkę powietrzną.

– To głupi pomysł, dzwonić po helikopter – Brenda przypadkiem słyszy słowa oficera policji. – Nigdy nie wylądują w tej mgle.

Jednak parę minut później, gdy helikopter sanitarny jest już w drodze, mgła rozwiewa się na tyle, że odsłania nocne niebo. Łopot śmigieł odbija się echem od ciemnych, otaczających jezioro wzgórz. Helikopter pewnie i bezpiecznie siada na ziemi.

Osiem minut później, tuż przed naszym przylotem do szpitala w Gresham, mgła znowu ustępuje i pilot może łagodnie posadzić maszynę na lądowisku. Gdy tylko wytoczyli mnie na noszach ze śmigłowca, mgła znów zgęstniała i przez kilka godzin uniemożliwiała załodze helikoptera start.

Wiozą mnie szpitalnym korytarzem, fluorescencyjne lampy jarzą się na suficie, pielęgniarka pochyła się nade mną.

– Don, mam dla ciebie dobrą wiadomość. Dziś dyżur ma doktor Brose. To jeden z najlepszych chirurgów urazowych w mieście.

Zmuszam się do słabego uśmiechu. Wtaczają moje łóżko na salę operacyjną oddziału pogotowia. Wszędzie wokół są ludzie, śpieszą się, toczą maszyny przez salę, przygotowują mnie do zabiegu.



Przetrzymałem trzygodzinną operację, ale doktor Brose niepokoił się o zgorzel gazową, więc przeniósł mnie do komory nadciśnieniowej w szpitalu Providence Portland Medical Center. Powiedział Brendzie, że już nigdy nie będę chodził, a jeśli przeżyję, będę do końca męczył się z kolostomią.

Ósmego dnia mojej rekonwalescencji odwiedził mnie Eric. Twarz miał wydłużoną i pełną smutku, ale wymieniliśmy wymuszone uśmiechy.

– Jak ci się podoba na oddziale intensywnej terapii? – zapytał z troską w głosie.

– Co masz na myśli? – popatrzyłem na niego zdezorientowany. – Jestem na takim oddziale?

Uśmiech zgasł mu na twarzy.

– Przez osiem dni byłeś w stanie krytycznym. Nie wiedziałeś o tym?

– Nie – próbowałem pokręcić głową. – Myślałem, że po prostu byłem w szpitalu. – Zastanowiłem się przez chwilę, ale nie mogłem zebrać myśli. Wciąż byłem skołowany. – Martwiliście się o mnie?

Powoli skinął głową, w górę i w dół, z trudem otworzył usta.

– Wszyscy.

– Nie trzeba – powiedziałem z ufnością. – Tego wieczora, gdy się postrzelilem, Bóg objawił mi, że jeśli przeżyję do rana, nic mi nie będzie. Powiedz wszystkim, że wygrzebię się z tego.

Już następnego dnia przeniesiono mnie z oddziału intensywnej terapii na zwykłą salę szpitalną. W miarę jak wolne, bolesne dni rekonwalescencji zmieniały się w tygodnie i miesiące, stało się jasne, że nie tylko przeżyję, ale będę się cieszyć pełnym zdrowiem.

Po upływie trzydziestu dwóch lat nie tylko chodzę i nie mam kolostomii, ale wciąż wędruję po wzgórzach środkowego Oregonu, mocuję się z moimi dziećmi i spuszczam przyjaciółom cięgi w tenisie stołowym.

Mogę śmiało powiedzieć, że nie stałoby się tak, gdyby nie doktor Brose. Przeszedł niezwykle trening w środkowej Afryce, lecząc ofiary wypadków, więc był przygotowany, by ocalić mi życie. Mogę też uznać, że życie uratował mi mój hałaśliwy pies, leżąc przy mnie, ogrzewając mnie ciepłem swojego ciała. Intuicja mojej żony, która kazała jej zadzwonić do taty i prosić o przyłączenie się do poszukiwań, również przyczyniła się do mego ocalenia – tak jak bystre oczy i uszy Erica oraz rosa na rękawie mojej kurtki. Paramedycy, piloci, farmer – wszyscy oni uratowali mi życie.

Ocaliła mnie nawet śrutówka. Mimo bliskiej odległości nabój nie przeszedł na wylot. Miesiąc po wypisaniu mnie ze szpitala lekarz wydobyl mi z pleców szesnaście śrucin, tkwiących milimetry pod powierzchnią skóry. Gdyby podczas wypadku chociaż jedna śrucina przecięła tętnicę, wykrwawiłbym się w lesie na śmierć. Tymczasem masa ołowiu utkwiała w moim brzuchu, rozdarła mięśnie, rozcięła jedną nerkę i uszkodziła wątrobę. Później odkryłem, że intensywny ból w piersi, który poczułem, czołgając się do samochodu,

spowodowała jedna śrucina, która przepłynęła z krwią przez komory serca, a potem osiadła w lewym płucu.

Często zastanawiałem się, co powstrzymało wybuch śrutówki i ocaliło mi życie? I co rozwiało mgłę dokładnie wtedy, gdy helikopter miał wylądować? Czy głos nakazał Big Boyowi posłuszeństwo? Kto umiał ułożyć tak misterny plan ratunku?

Czy była w tym ręka Boga? Tchnienie Boga? Głos Boga? Boże ocalenie?

Wierzę w to, nie tylko dlatego, że przeżyłem, ale że się zmieniłem.

Wypadek pociągnął za sobą nie tylko fizyczny ból, pobyt na oddziale chirurgii urazowej i powolny powrót do zdrowia. Zranił też moją duszę.

Po wypadku spędziłem wiele bezsennych nocy, pytając Boga, jak mam utrzymać rodzinę, będąc kaleką. A jeśli naprawdę nie mógłbym pracować fizycznie, to jakie zajęcie dałoby mi satysfakcję równą tej, jaka płynęła z pracy własnych rąk, na łonie natury?

Czułem się zdezorientowany i przygnębiony, wdzięczny za życie, ale niepewny, jak to życie będzie teraz wyglądać. Zawsze byłem mocnym facetem ze stwardniałymi rękami, w flanelowej koszuli. To nie była tylko praca, zwykłe zarabianie na życie jako cieśla; to byłem ja – moja tożsamość. Nie mogłem sobie wyobrazić, że mógłbym być kimś innym. Gdy tak zmagalem się z emocjonalną stratą, przyszedł z wizytą mój teść.

– Don, przez całe życie korzystałeś z tężyzny swego ciała – powiedział. – Teraz Bóg daje ci szansę, byś użył też głowy.

Początkowo odebrałem tę uwagę jako nietakt, obraziłem się, myśląc, że teść trywializuje moje pragnienie życia z pracy własnych rąk. Jednak upływ czasu i modlitwa sprawiły,

że przyznałem mu rację – Bóg z mocą, a jednak delikatnie, przetaił mi nową ścieżkę, którą miałem podążać.

Zacząłem znów się uczyć – w Multnomah Bible College, a po ukończeniu studiów podjąłem pracę w branży wydawniczej. Przez minione dwie i pół dekady poznałem nieoczekiwaną radość pracy z jednymi z najmądrzejszych, najbardziej inspirujących autorów na świecie. Przyjaźń z nimi stała się dla mnie błogosławieństwem, dała mi nadzieję i nauczyła mnie wiary w cudowną moc opowieści – nawet mojej własnej.

Lata temu nad Jeziorem Roslyn nie prosiłem o przekoszenie gwintu w mojej strzelbie, ale jednak przypadła mi w udziale ta historia i teraz mogę dziękować Bogu za ten defekt. Tam zaczęła się podróż, która doprowadziła mnie tutaj, do tej książki, do dzielenia się prawdą, której uczę się wciąż od nowa. Bóg potrafi wykorzystać najgorsze momenty naszego życia, by zaprosić nas do największych życiowych błogosławieństw, i czyni to.

Oto prawda wpisana w moją opowieść, historie wzięte z życia, zgromadzone w tej książce, i największa opowieść ze wszystkich: Boża opowieść. Modłę się, by nawet niewielka nadzieja, odwaga i odrobina czasu pomogły także tobie zacząć odczuwać, że Bóg działa i że tworzy z naszego życia wspaniałą historię odkupienia.

SPIS OPOWIADAŃ

- PODZIĘKOWANIA 6
- WSTĘP 7
- JEZIORO ROSLYN 9
Don Jacobson
- ZWYCZAJNY, STARY TED 24
Michelle Close Mills
- DAR KATIE 31
Dave Burchett
- FREUNDE 37
Dixie Phillips
- DROGA DO PRZEBACZENIA 43
Jay Cookingham
- ŚWIATŁO NA MOJEJ DRODZE 48
Joanne Potter
- MAMA I JA 53
Tracy Healy
- ZALOTY W SZPITALU 58
Mary Potter Kenyon
- ZDERZENIE Z NIEZNANYM 62
Evan Osgood
- SZEŚĆ MIESIĘCY, PO KTÓRYCH ZACZĘŁO SIĘ ŻYCIE 69
Dave Gist
- ALE TERAZ WIDZĘ 74
Gina Graham
- KC NIE ZAŁOŻY ŁYŻEW 80
Ross Gale
- ANIÓŁOWIE Z PIŁAMI ŁAŃCUCHOWYMI 84
Mariane Holbrook
- DOBRA DECYZJA 89
Bertha Raz

- ZAPOMNIANA PRAWDA 93**
Kim Anthony
- ROZBRYKANA ŚWIĘTA 99**
Matt Hart
- DO TRZECH RAZY SZTUKA 104**
LaTosha Brown
- BLOK SERA 110**
Stephen Clover
- KOBIETA Z SALI NAPRZECIWKO 115**
Judy Cocoris
- NIEOCZEKIWANY ŚMIECH 120**
Jody McComas
- UBEZPIECZONA PRZEZ MIŁOŚĆ 125**
Yamaris Rosa
- CZY MOGĘ CIĘ NAZYWAĆ MAMĄ? 129**
Carla Wicks
- LISTY Z WOJNY 136**
Ray i Betty Whipps
- MAŁY WYGA AYDEN 156**
Caryn Rich
- DROGA POWROTU DO ZDROWIA 161**
April LaLand
- OSTATNIE DNI 165**
Marybeth McCullum
- NIESPODZIEWANA RODZINA 169**
Kim McKinney
- PRZERWANE SAMOBÓJSTWO 175**
Lisa Lane
- ULGA W WYPALENIU 179**
Lois Hudson
- DRUGA SZANSA 184**
Alisa Wagner
- W GÓRĘ, W GÓRĘ, W GÓRĘ 189**
Kevin Kalman

- BEZ OJCA** 194
Robyn Davis
- TRUDNA PRZERWA** 199
Matt McGoldrick
- DZIECKO NIESPODZIANKA** 205
Connie Cook
- SERCE BABCI** 209
Anne Forline
- RUNAĆ W BEZMIAR BOŻEJ ŁASKI** 214
David Waterman
- MAŁY ROWERZYSTA, KTÓRY UMIAŁ DOPIĄĆ SWEGO** 220
Karen Hessen
- ZA KRATKAMI** 223
Danielle Barrett
- PORWANI PRZEZ FALE** 227
Erika Hoffman
- BEZ GROSZA, ALE NIE BANKRUT** 232
Diane Williams
- DŁUGI, CIĘŻKI RAJD** 237
Jim Coon
- PUSTE BUTELKI PO COLI** 242
Luke Beling
- DZIESIĘĆ DNI W DALLAS** 248
Donna Matthews
- NAZNACZONA MIŁOŚCIĄ** 253
Sharie Robbins
- JEDEN TELEFON** 259
Anonim
- POŚŁOWIE** 264
- O AUTORZE** 264